

Trener Tadeusz Foryś, od lat zwolennik „strefy”, patrzył na te propozycje ze zdziwieniem, ale pozostawał w cieniu Czesława Kruga i Jeana Prouffa, więc milczał. Największym absurdem było powierzenie Fryderykowi Monicy, zawodnikowi ociężałowemu, mało zwrotnego i niezbyt szybkemu, opieki nad błyskotliwym prawoskrzydłowym Metrewellim. Gruzin ośmieszał Polaka, żałość ogarniała, gdy się na to patrzyło. Strzelił dwie bramki. Nasz napad praktycznie nie istniał, obrona jak sito. Zagrypiony był Ernest Pohl, ale znowu zabrakło w ekipie lekarza. Tych „błędów i wypaczeń” było więcej. W ogóle niepoważne potraktowano ten mecz. Nasza ekipa bardziej niż drużynę piłkarską, przypominała turystów Sports-Touristu zwiedzających Plac Czerwony i Mauzoleum Lenina lub uganających się w GUM-ie za kawiozem i zabawkami dla dzieci.

Po takich wędrówkach po Moskwie i to w dniu meczu zmęczona i rozkojarzona drużyna zjawiała się na Łuźnikach tuż przed samą grą. Nie było już czasu na solidną rozgrzewkę. Gospodarze poganiali: prominenci czekają, mecz trzeba rozpocząć punktualnie! Nikt nie protestował. Katastrofa zaczęła się więc bardzo szybko. Już w 14 minucie po strzałach Iwanowa (4), Bubukina (9) i Poniedielnika (14) było 3:0. Nasi biegali po boisku, jak pies po pustym sklepie. Rywalowie byli nieuchwytni. Aż prosiło się, by ich ataki przyjmować na własnej połowie.

Kapitan reprezentacji Edmund Zientara nie krył złości:

– Gdyby dziś w Moskwie grała tylko defensywa Legii, w żadnym wypadku nie stracilibyśmy siedmiu bramek! Może dwie, trzy, nie więcej... Tymczasem oni naszym napastnikom nie dali oddychać. Nawet „Kici” i Ernest byli bezradni. Po przerwie zupełnie oklapł Michel, no to „Burza”, który i tak miał sporo kłopotów z szybkim Meschim, jak wariat biegał po całym boisku również za Bubukinem...

Przy tym lamencie, obwinianiu naszych piłkarzy i organizatorów, warto pamiętać, że nasi pogromcy zdobyli w roku 1960 Puchar Narodów. Frajerami przeto nie byli. Trochę pomógł im tu generał Franco. W ćwierćfinale Pucharu

Narodów Hiszpania miała się spotkać właśnie z ZSRR. Do meczu jednak nie doszło, bo w Madrycie nie udzielono „ruskim” wiz wjazdowych. Na teren sportu znowu wkroczyła polityka. Właśnie wtedy, kiedy Hiszpanie mieli grać z Rosjanami w piłkę nożną, na terytorium ZSRR zestrzelono amerykański samolot szpiegowski U-2. Nasiliła się „zimna wojna”, umocniła „żelazna kurtyna”. Franco wykorzystał to również na niwie sportowej.

Ryszard Koncewicz do kulis fatalnego meczu w Moskwie powrócił na zebraniu Wydziału Szkolenia. Nie ukrywał, że z taką grą i z taką taktyką, nie mamy czego szukać na Olimpiadzie w Rzymie. Istotnie, nasi wygrali tam tylko z Tunezją, natomiast Dania i Argentyna dały nam łupnia. Zgasła gwiazda Prouffa, na fotel trenera wrócił Koncewicz. W ciągu roku dokonał rzeczy teoretycznie niemożliwych – w maju 1961 w Warszawie zrewanżował się radzieckim za klęskę w Moskwie, a w listopadzie Duńczykom w Chorzowie za niepowodzenie w Livorno. Byłem świadkiem obu tych zwycięstw i szeroko je opisałem.

Nastąpiły duże cięcia w kadrze. Z „moskiewskiego” składu pozostali tylko: Szczepański, Zientara, Brychczy, Pohl i Jan Kowalski, doszli – Szymkowiak, Oślizło, Woźniak, Polok, Lentner i Jarek (Wilczek). „Faja” dał szansę kilku debiutantom, co głównie w odniesieniu do Stanisława Oślizły okazało się „strzałem w dziesiątkę”. Wreszcie zapełnił lukę po odsuniętym z kadry Romanie Koryncie. W ciągu 10 lat zabrzanin rozegrał 57 meczów w reprezentacji. W tym pierwszym tak dokładnie zaopiekował się Walerym Łobonowskim (Ukrainiec w czasie Świąt Wielkanocnych wystąpił też w meczu Górnik Zabrze – Dynamo Kijów 3:3 i zdobył przepiękną bramkę), że po przerwie zmienił go Kraśnicki. Ten też nic nie wskórał. Wyróżnił się tylko faulem na Edku Szymkowiaku i wywołaniem gwizdów na widowni. Oślizło był zaporą nie do sforsowania.

Polska wygrała ten mecz 1:0, a bramkę strzelił Ernest Pohl. Węgierski sędzia tego spotkania Vilmos Koesztner nie krył zdziwienia: – *„Jesteście autorami*

światowej sensacji”. No, europejskiej na pewno, bo przecież piłkarze ZSRR wywalczyli w Paryżu Puchar Narodów. Dlaczego w ciągu niespełna roku z 1:7 zrobiło się 1:0? Przyczyn było wiele, ale najważniejsze to: lepsze przygotowanie fizyczne, lepszy skład i lepsza taktyka. Grano „strefą”. Już nie było wyprawy z motyką na słońce! Ostoją zespołu była defensywa, a przy Jerzym Woźniaku równie szybkim jak przeciwnik, Metrewelli nie miał nic do powiedzenia. Obrońców skutecznie wspierał Jan Kowalski, a rozgrywający Lucjan Brychczy rządził z Edmundem Zientarą w drugiej linii.

– Waleryj! Waleryj! – wrzeszczał Jaszyn do Woronina. – Dzierży etowo czorta Brychczewo!...

„Kici”, tak – jak w Chorzowie był nieuchwytny dla Netty, teraz doprowadził do rozpaczony Woronina. Strzał Brychczego z półobrotu w poprzeczkę dziś też mógłby być ozdobą wszystkich boisk świata. A jednak ten niezrównany technik, strzelec i reżyser stał się dla dziennikarzy ze „Sportu” Katowice jakimś „brzydkim kaczątkiem”. Wieszano na nim psy, odzegnywani od czci i wiary. Wykrzykiwano z łamów: – „**Nigdy więcej Brychczego!**”.

Rzeczowo i kulturalnie odpowiedział na te zarzuty Grzegorz Aleksandrowicz. Zapytał: – „**Z Brychczym czy bez?**” i odpowiedział jednoznacznie: – „**Z Brychczym!...**”. „Sport” nieco spuścił z tonu, ale nie wyzbył się złośliwości: – „Nieporozumienie w dyskusji – Brychczy i wiatraki”. Ślązacy, którzy wciąż nie mogli wybaczyć „Kiciemu”, że w roku 1957 nie przeszedł z Kowalem i Pohlem do Górnik Zabrze (wtedy byłby noszony na rękach), teraz ni z gruszki ni z pietruszki zapalali chęcią gwałtownego odmładzania reprezentacji. Argumentowali: ... „Cieślik już ustąpił młodszemu, czas i na Brychczego...” Czysta demagogia. Gerard kończył karierę, gdy miał 32 lata, a Brychczy przed meczem z Danią w Chorzowie był o pięć lat młodszy. Najlepszy wiek dla piłkarza... Wiedzieliśmy o co chodzi – Wilczek za „Kiciego” – to było podłoże wylewania pomyj na legionistę.

Kapitan związkowy Czesław Krug uważnie śledził ten spór i... długo się wahał, natomiast trener Ryszard Koncewicz nie miał wątpliwości: – Z Danią musi zagrać Brychczy!. Zagrał, a Polska zwyciężyła 5:0. Był to srogi rewanż za olimpijskie 1:2 w Livorno. Opisałem w „PS” – „**Jak nasi piłkarze zwalczyli duński kompleks?**”. Był to też częściowy rewanż za 0:8 w 1948 roku w Kopenhadze. A więc nie jest prawdą, że „Duńczycy nam nie leżą”. Polski atak zagrał na piątkę, a Brychczy – podobnie, jak w meczu z ZSRR – królował w głębi pola nieco za kwartetem: Faber, Gajda, Pohl, Lentner. Był wzorowym rozgrywającym.

Mecz rozegrano na mocno ośnieżonym boisku i w czasie niezłej zadymki. Chwilami trudno było rozpoznać zawodników. Kłopot miał tu również red. Andrzej Roman z „Kuriera Polskiego”.

– Kto właściwie gra na lewej obronie? – zwrócił się do mnie z tym pytaniem.

– Jak to kto? – Woźniak, Jurek Woźniak – szybko odpowiedziałem...

– Coś ty, to Kawula! – upierał się Andrzej.

– Skądże znowu – zaprotestowałem. – Takie ruchy ma i tak biega, jak sarenka, tylko „Siwy”.

– Żartujesz – nie dowierzał Roman. – Woźniak jest blondynem, a ten ma czarne włosy...

–... bo ma mokrą głowę.

– Trzymam jednak pięciuset złotowy zakład, że to Kawula – podniecił się Andrzej.

– Ja też! Przyklepuj...

Wygrałem. Za dobrze bowiem znałem naszych piłkarzy, bym – nawet w zadymce – nie potrafił odróżnić Kawuli od Woźniaka. Mile wspominał brudne szyby w kabinie sprawozdawców. Po meczu za tę wygraną sumkę mogłem nieźle „porządzić” najpierw w bufecie na Stadionie Śląskim, a potem w katowickim „Monopolu”. Obiekt w Chorzowie przypominał w tym dniu stadiony europej-

skie. Za lożą honorową był wytworny, dobrze zaopatrzony bufet, a w nim krupniok, serdelki na gorąco, parówki, bigos, strogonow, flaczki a'la stołeczny „Flis”, herbata z cytryną, piwko Radeberger... Obsługa sprawna, uprzejma. Kanada. Kudy do Śląskiego Stadionowi Dziesięciolecia... I cóż wy na to? – pytałem na łamach „PS” – ubodzy krewni z Warszawy?.. W „Monopolu” też było miło i przyjemnie. Pił, śpiewał i tańczył nawet trener Koncewicz. Nie robiłem z tego tajemnicy... Przeczytała to żona „Fajki”, zadzwoniła do redakcji i zapytała: – *Może mi pan powiedzieć, co to była za dziewczyna?...*

Na pomeczowej kolacji byli również niemal wszyscy piłkarze. Nakłoniłem „pana Grzegorza”, żeby porozmawiał z nimi o roli, jaką w reprezentacji spełnia Lucjan Brychczy. Jest potrzebny, czy nie? Pomysł dobry, pomogłem autorowi w zbieraniu opinii, a redaktor – w świetle doskonałego występu „Kiciego” w meczu z Danią – zawarł to w prowokującej publikacji „CZY BRYCHCZY SIĘ NADAJE?”. Odpowiadają piłkarze ze Śląska.

Ernest Pohl: – To jest dużej klasy rozgrywający. On gra do przodu, z jego podań padają prawie wszystkie bramki. Nie wyobrażam sobie, żeby w pełni zdrowia, nie grał w reprezentacji.

Roman Lentner: – „Kici” – to najlepszy napastnik w Polsce. On robi grę...

Jan Kowalski: – Skąd to pytanie? Brychczy powinien grać w reprezentacji na sto pięćdziesiąt procent!...

Norbert Gajda: – Świetnie mi się z nim gra, to bardzo dobry kolega na boisku. Wyrabia sytuacje innym...

Brychczy mocno przeżył ten nieuzasadniony atak w „Sporcie”. Mierziły go niesprawiedliwe, wyraźnie tendencyjne opinie tamtejszych komentatorów. Był moment, że chciał zakończyć karierę piłkarską i spróbować szczęścia na estradzie. W tamtych czasach wielu piłkarzy (i nie tylko oni) dobrze śpiewało lub grało na różnych instrumentach: Stanisław Baran, Czesław Wiśniewski, Augu-

styn Dziwisz, Kazimierz Górski, Stanisław Tymowicz, Czesław Suszczyk, Egon Piechaczek, Antoni Piechniczek, Henryk Szczepański, Henryk Gronowski, Stanisław Oślizło, Edward Jankowski...

„Kici” wykazał tu talent szczególny. Jak zawodowy wokalista, najczęściej w gronie przyjaciół, intonował ulubione „Nicolò, Nicolò, Nicolino...”, „Rio de Janeiro o hej, o haj, bo najpiękniejszy miesiąc to maj...” i „Arivederci Roma”. Wiedział, że tę włoską piosenkę najlepiej śpiewa Janusz Gniatkowski, ale i ja – twierdził – nieźle bym sobie z tym poradził nawet w warszawskim „Bristolu”. Na szczęście, „Bristol” był wtedy w remoncie i to być może odwiodło Lucjana od rezygnacji z futbolu. Jeszcze prawie przez kolejnych dziesięć lat selekcjonerzy powoływali go do reprezentacji, zaś Czech Jaroslav Vejvoda zwracał się do niego per „mistrzu”. Brychczy to obok Cieślaka drugi taki piłkarz w Polsce, który wierny jest tylko jednemu klubowi.

Dla mnie jednak największym wydarzeniem 1961 roku był jubileusz „Przeglądu Sportowego”. To redakcyjne święto zbiegło się z 45-leciem „Legii” Warszawa i 40-leciem naszego rówieśnika Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Byłem świadkiem uroczystości i zawodów, które często się nie zdarzają. Najpierw wyróżniono wybijających się dziennikarzy, w tym Elę Cungową, biele władającą pięcioma językami. Na gali w „Domu Dziennikarza” przy Foksal była ozdobą towarzystwa. Lech Cergowski też się sporo napracował, publicznie wystawił każdemu z nas własne cenzurki. Mnie uznał za „pierwszego po Bogu w piłce nożnej”, ale nieźle też przygryzł: „nawet w sprawozdaniu z meczu Górnika z ŁKS-em wspomni o Legii”. Może to i dobrze?...

Właśnie klub z Łazienkowskiej, zwłaszcza jego sekretarz generalny pułkownik Edward Potorejko, okazał się wtedy naszym największym sojusznikiem. Wraz z prezesem PZPN, Stefanem Glinką, szefem WOZPN Leszkiem Rylskim oraz kierownictwem „Przeglądu” i „L’Equipe” poruszył niebo i ziemię, by

sprowadzić do Polski nieoficjalną reprezentację Bułgarii i finalistę Klubowego Pucharu Mistrzów Europy z 1956 roku, Stade de Reims, oczywiście z Raymondem Kopą w roli głównej. Mecz z Francuzami rozegrali wojskowi przy blasku jupiterów, które już od 9 miesięcy przyświecały piłkarzom w czasie gry. Legioniści dobrze czuli się w tej wieczorowej scenerii, między innymi niedawno wzięli srogi rewanż na Ruchu Chorzów (6:0!) za zeszłoroczną wpadkę, ale Kopie i jego kolegom z Reimsu nie dali rady. Francuzi wygrali 3:1. Jak grał nasz rodak? Tak to ja widziałem:

...„Wykazał ogromne wyczucie przestrzeni i czasu lotu piłki, zadziwiał dokładnością i miękkością każdego uderzenia. Jeśli skierował piłkę pod bramkę Legii, wiadomo było, że za moment padnie strzał. Reims zdobył trzy bramki, wszystkie właśnie z podań Kopy. To prawdziwy zegarmistrz na boisku!...”

A tak Raymond Kopa:

...„Szczerze mówiąc początkowo zamierzałem grać krótko i to wyłącznie dlatego, by nie sprawić zawodu warszawskiej publiczności. Kiedy jednak dobrze się rozgrzałem gorącą atmosferą na stadionie i zauważyłem, że moi koledzy z Legii nie polują na kości, walczą fair, zaś sędzia Wacław Majdan gwizdże wzorowo, postanowiłem grać do końca. Inna sprawa, że wasz pomocnik Strzykalski specjalnie mi w tym nie przeszkadzał. Sympatyczny chłop... No to było widowisko!”.

Jubileuszowy bankiet odbył się w Sali Turkusowej Grand Hotelu. Atmosfera miła i przyjemna. Było wino, kobiety, śpiew i tańce. Najlepsza solistka Warszawy, tajemnicza pani Regina zaśpiewała „C'est magnifique”. Podchwycili to piłkarze Reimsu, weseli, roześmiani. „Ała” nie próżnował, robił im karykatury. Może za rok zabiorą je ze sobą na mistrzostwa świata w Chile? Strzelec jednej z bramek na Legii Piantoni w ogromnym sombrero na głowie płynie przez Atlantyk, a Kopa dyryguje piłkarską kapelą. Wszyscy zadowoleni... Wykorzystuję tę

sprzyjającą okoliczność i proszę Raymonda o wywiad dla CZTERDZIESTOLATKA – „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO”. Nie odmawia...

– Czy dobrze się pan bawi?

– Ależ naturalnie! Miło i przytulnie jest w tej sali...

– A czy Warszawa też się panu podoba?

– Wiedziałem, że Niemcy ją zburzyli. A teraz? Jest ślicznym miastem. Kiedy to wszystko zbudowaliście?

– Wcześniej był pan w Polsce?

– Tak, przed wojną, w 1937 roku, ale... urodziłem się we Francji. Polska jest ojczyzną mojego ojca Franciszka i matki Heleny. Byłem z nią u kuzynów koło Poznania.

– Jak długo kopie pan piłkę?

– Od dziecka! Miałem siedemnaście lat, gdy podpisałem pierwszy kontrakt. Najpierw dwa lata grałem w Angers, a potem w Reims...

– Był też Real Madryt...

– Ano był... Pewnie zaraz zapyta pan o Di Stefano. Znam go dobrze, na pewno jest najwszechstronniejszym, najlepiej wyszkolonym piłkarzem świata... Jednak nie jest moim ideałem. Wyżej cenię Pelego. Ten Murzyn, to nie piłkarz – to artysta futbolu. Takim trzeba się urodzić!

– Właśnie. Jak to rozumieć?

– Trzeba mieć smykałkę do gry... iskrę Bożą. W Brazylii o takich geniuszach mówią, że „z nieba na ziemię są zsyłani przez Boga...” Solidna, żmudna praca i sportowy tryb życia są potrzebne przede wszystkim do długotrwałego utrzymania formy i już posiadanej klasy.

– Nie ma „bariery wieku”?

– Di Stefano i Puskas mają po trzydzieści cztery lata i są obok młodziutkiego Pelego najlepszymi piłkarzami świata. Puskas zawsze był wielki, ale dopie-

ro w Realu, gdy go do tego zmusiła trudna sytuacja, mocno pracował. Miał więc talent i charakter... Tak, jak piłkarski matuzalem sir Matthews.

– Jak wspomina pan Real?

– Grałem tam na prawym skrzydle, bo tak chciał trener. Ale mnie to nie odpowiadało, to przywiązanie do pozycji... Wolę być wolny, nie znoszę reżimu... Chcę grać tak, jak tego wymaga mój charakter. W Reims mam swobodę, gram na całej szerokości boiska.

– A co sądzi pan o polskich piłkarzach?

– Są utalentowani. W zeszłym roku z Vichy dali nam łupnia 4:2. W Warszawie z kadrowiczów podobali mi się Lentner i Pohl, a w Legii Brychczy. To dobry technik...

– Jak będzie w Chile?

– To będą gospodarskie mistrzostwa. Brazylia, Argentyna i Urugwaj są faworytami...

„PORTUGALCZYCY” ...

Jeszcze jedno wydarzenie rangi międzynarodowej przykuło w roku 1961 nie tylko moją uwagę. Turniej UEFA w Portugalii. Z zeszłorocznej drużyny, którą już w Austrii chwaliłem za dobre wyszkolenie, zostało kilku najlepszych zawodników: stoper Andrzej Rewilak, skrzydłowi Krzysztof Hausner i Janusz Kowalik oraz środkowy napastnik Jerzy Musiałek i lewy łącznik Roman Kasprzyk. Doszli Janusz Żmijewski i przede wszystkim Zygryd Szołtysik, cała siódemka – to przyszli reprezentanci jedenastki narodowej.

Znałem tę drużynę doskonale, także jej możliwości. Przy każdej okazji podkreślałem, że „**juniorzy pojedają do Portugalii nie tylko po naukę**”. Tymczasem kierownictwo PZPN i GKkFiT miało inne zdanie. Czy warta jest skór-

ka za wyprawkę? Koszty duże, a sukces sportowy wątpliwy. Dodatkowo sprawę skomplikowała wciąż „zimnowojenna” atmosfera międzynarodowa. Wcześniej Franco nie wpuścił do Hiszpanii piłkarzy ZSRR, teraz Salazar nie dał wizjazdowych juniorom Jugosławii. Bojkot był łatwy do przewidzenia, zwłaszcza ze strony NRD, która już w roku 1955 we Włoszech doznała podobnego afrontu. Ostatecznie z tzw. „demoludów” w Portugalii zjawili się tylko Rumuni i Polacy.

Na temat szans młodych Polaków w Portugalii jasno i jednoznacznie wyłożyłem swoje racje na łamach „Przeglądu Sportowego”:

... „Rodzi się zespół lepszy i bardziej doświadczony od tego, który przed rokiem występował w Austrii. Pojawia się drużyna, która jest w stanie przyćmić klasę wszystkich poprzednich. Dlatego dziwne i nieuzasadnione było by trzymanie takiego zespołu pod korcem i skazywanie na smażenie się we własnym sosie. Żaden z dotychczasowych startów nie został zmarnowany. W turniejach UEFA wyrosli obecni reprezentanci Polski”.

Prasa w pełni podzieliła moje zdanie. Efekt? W połowie grudnia 1960 roku specjalna komisja GKkFiT (a nie PZPN) powiedziała „tak”. Odpowiedzialnością za przygotowanie drużyny osobiście obciążono szefa wyszkolenia związku Ryszarda Koncewicza oraz trenera reprezentacji juniorów Władysława Stiasnego z Krakowa i Edmunda Świątkowskiego z Bydgoszczy. W styczniu 1961 roku na stadionie olimpijskim we Wrocławiu rozpoczęły się końcowe przygotowania do startu w Portugalii. Co kilka dni odbywała się wówczas jakaś gra kontrolna, a w lutym i marcu głównie na Śląsku raz w tygodniu ważne mecze sparingowe. Grano z „marszu”, stołowano się w barach mlecznych. Śnieg i mróz, przenikliwe zimno, mimo to z czoł chłopców spływał pot. Ciężko pracowali.

– To bardzo interesujący chłopcy, dobrze wychowani, uzdolnieni i ambitni – zauważył Koncewicz. – Może rzeczywiście do Portugalii pojedą nie tylko po naukę...

Dosłownie w ostatniej chwili zespół pozyskał jeszcze jedną gwiazdeczkę. W Rudzie Śląskiej kandydaci na Portugalię zmierzyli się z juniorami „Zrywu” Chorzów. Wygrali chłopcy Władysława Stiasnego, ale w drużynie Józefa Murgota, słynnego na Śląsku „łowcy talentów”, zobaczyliśmy gracza, który dorównywał umiejętnościami najlepszym – Kowalikowi i Musiałkowi. Zwinny, dobry technicznie, taki mały lisek chytrusek...

– Kto to jest? Jak się nazywa? – Profesorze – to do Murgota – dlaczego do tej pory ukrywał pan tę perełkę?

– Nie sądziłem, że taka kruszyna przyda się tej drużynie. To wszystko...

Ta „kruszyna”, z czasem nazwana przez kolegów z Górnika Zabrze „Małym”, dwa lata później debiutowała w pierwszej reprezentacji Polski, a podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w meczu z ZSRR, strzeliła dla Polski zwycięską bramkę. Zygryd Szołtysik!.. Magister Stiasny wkomponował „Małego” w napad o wyjątkowo dużych umiejętnościach: Hausner (Żmijewski), Szołtysik, Musiałek, Kasprzyk, Kowalik. Tworzyła się legenda „Portugalczyków”...

Tuż przed odlotem do Lizbony odbył się w Warszawie mecz ligowy Legia – Cracovia. Wprawdzie goście przegrali 2:3, ale zdobyli więcej pochwał i oklasków, niż zwycięzcy. W drużynie pokonanych wystąpiło trzech przyszłych „Portugalczyków”: Andrzej Rewilak, Krzysztof Hausner i Janusz Kowalik. Widownię olśnili głównie skrzydłowi. Świetnie wyszkolony technicznie i ruchliwy, jak rtęć – Kowalik, praktycznie z flanki kierował całą piątką napadu, a nacierający z siłą huraganu Hausner zdobył obie bramki. Znalazłem się w podwójnym niebie: oba punkty zostały w Warszawie, a dobra postawa juniorów z Krakowa była udaną zapowiedzią na sukces w Lizbonie.

Chłopców, niczym ojciec wielodzietnej rodziny, życzliwie pożegnał nowy prezes PZPN, Wit Hanke. Bojowo odpowiedział kapitan drużyny Andrzej Rewilak: – „PRZYWIEZIEMY Z PORTUGALII MEDAL”. W dobrych nastro-

jach odlatywała drużyna z Okęcia. Podróż z Warszawy via Zurich do Lizbony trwała ponad dobę. Pierwszy mecz z Francją Polacy wygrali 4:1. Po dwie bramki zdobyli Roman Kasprzyk i Jerzy Musiałek. Przedstawiciel paryskiej „L'Equipe” ze zdziwienia łapał się za głowę, gdy nadawał sprawozdanie do Paryża:

... „Nasi obrońcy nie wiedzieli, co robić, kiedy przed nimi wyłaniał się doskonały polski atak. Polacy oczarowali widownię nie tylko doskonałą kondycją fizyczną, ale przede wszystkim dużymi umiejętnościami technicznymi”.

Chwaliła nas również prasa portugalska:

... „Polacy w każdym meczu raczą publiczność na wskroś widowiskowym futbolem. Zadziwia ich wysokie wyszkolenie techniczne, polot i fantazja”.

W drodze do finału nasze „Orliki” pokonały jeszcze Austrię i NRF oraz zremisowały z Grecją. Bardzo zacięty był mecz półfinałowy z Niemcami. Trenerem tej reprezentacji był Helmut Schoen, późniejszy rywal naszego Górskiego, zaś jej asami bramkarz Sepp Maier i Wolfgang Overath – mistrzowie świata z 1974 roku. We Frankfurcie nad Menem wygrali z nami niezapomniany „bój w wodzie”, ale wtedy w Porto górą byli młodzi „biało-czerwoni”. Prowadzenie 1:0 dał nam piękny strzał Kowalika, później „Mały” trafił w poprzeczkę, ale Wild wyrównał na 1:1. Drugi piękny strzał Janusza zza pola karnego rzucił Niemców na kolana. Zwycięstwo 2:1!... To już jest srebrny medal!

I tak zostało. Finał z Portugalią, mocno już zmęczeni chłopcy, przegrali aż 0:4, ale – to spore usprawiedliwienie – przez 84 minuty grali w „dziesiątkę”. Groźnej kontuzji doznał stoper Rewilak, a że ówczesne przepisy nie pozwalały na żadne zmiany, w osłabieniu trudno było liczyć na dobry wynik. Gospodarzom pomógł zresztą nie tylko bezsensowny regulamin, także hiszpański sędzia Ortiz de Mendebil wyraźnie im sprzyjał. Jedną bramkę uznał ze spalonego, a drugą podarował z wydumanego rzutu karnego. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje...

A więc „tylko” srebrny medal... Przy późniejszych sukcesach juniorów w mistrzostwach Europy takie sobie osiągnięcie. Jednak wtedy, w generalnie chudych latach polskiego piłkarstwa, reprezentacyjnego i klubowego (1:8 Górnika Zabrze z Tottenhamem Londyn w Pucharze Europy), był to niepodważalny sukces, dotychczas największy na arenie międzynarodowej. Jak potoczyły się dalsze losy tych chłopców? Większość z nich grała później w pierwszej reprezentacji Polski. Zygfryd Szołtysik ma w dorobku złoty medal olimpijski. Oficjalne pożegnanie „Portugalczyków” nastąpiło 16 lipca 1961 roku w Radomiu w zwycięskim meczu z ZSRR. To był autentyczny bal piłkarskich maturzystów!

Pierwszy z tego medalowego towarzystwa w mistrzowskim zespole Górnika Zabrze zagrał Jerzy Musiałek, zaraz po nim na Roosevelta czarował widownię Szołtysik. Emisariusze z Zabrze obserwowali „Małego” w Koszalinie podczas międzynarodowego turnieju drużyn szkolnych. Był tam najlepszy, rychło więc stał się w Górniku partnerem Pohla, Lentnera, Wilczka i... Musiałka. Młodzi mieli niesamowity fart, że trafili w tym klubie pod opiekuńcze skrzydła Ernesta. Miał wady, mimo to młodzież go uwielbiała. Pohl bez cienia zazdrości, tak prawdziwie po piłkarsku, dla dobra drużyny promował te talenty. Radził, pomagał, uczył współzycia w klubie.

Dobrą szkołą, tak w sferze szkolenia, jak i wychowania, były letnie zgrupowania juniorów. W roku 1961 odwiedziłem PZPN-owską młodzież w Zielonej Górze. Zauważyłem, że „**w tej kuźni przybija się nie tylko mistrzowskie podkowy**”. Rygor, jak w wojsku: apele, raporty, zbiórki... Kierownik obozu redagował biuletyn dnia. Przewodniczący Rady Obozowej w asyście dwóch innych chłopców rano podnosił, a wieczorem ściągał z masztu flagę narodową.

– Dobranoc obóz! – rozlegało się echo po okolicy.

– Dobranoc panie kierowniku! – odpowiadał donośny okrzyk 80 młodych ludzi.

Teraz do akcji wkraczał „profesor” Wiesław Motoczyński. Doksztalał chłopców z matematyki i fizyki, a inni członkowie sekcji młodzieżowej PZPN z historii i literatury pięknej. Gramatykę oddano mnie... A rano, jeszcze przed apelem, pieklił się Ludwik Ciecierski, prawa ręka „Motorca”:

– Rysiek, dlaczego jeszcze nie ogolony! Stefan, zapnij dres!... Andrzejku, uczesz się. Co z twoją głową?...

Przy śniadaniu, gdy któryś z chłopców pił herbatę z łyżeczką w szklance, grzecznie przestrzegał:

– Baba, Kłosek, Kuczko! Łyżeczki na bok, bo jeszcze sobie oczy wydłubiecie...

Przybysze z zewnątrz dziwili się:

– Apele? Raporty? Zbiórki? Czy to nie przesada?

Ktoś inny sądził, że to klasztor:

– W karty nie grają, papierosów nie palą, nie piją... Więc co robią w chwilach wolnych od zajęć? Kształcicie mnichów?

– Nie wychowujemy tu spartańskich bohaterów – spokojnie wyjaśniał trener Foryś – odpornych na głód, pragnienie i niewygodę. Wpajamy tylko te zasady, które obowiązują każde środowisko. „Gloria virtutem tamquam veram habebit...” tak uważamy: „Sława, jak cień, podąża za cnotą...” Nie jest prawdą, że wszystkim się to podoba. Niektórzy palą, spóźniają się i po capstrzyku hałasują w łózkach... Najbardziej niesfornych karnie odsyłamy do domu.

Czy w PZPN w pracy z młodzieżą zawsze i wszędzie wszystko grało? Oj, nie! Zwykło się mówić, że „przykład idzie z góry” lub że „ryba psuje się od głowy”. Często rzeczywiście tak bywa. Działacze zachowują się nieodpowiedzialnie, a młodzież to obserwuje. Oto przykład z życia wzięty. We wrześniu 1961 roku, jakimś mocno sfatygowanym autokarem, wybrałem się z reprezentacją B do Bańskiej Bystrzycy na mecz z Czechosłowacją B. Interesował mnie przede

wszystkim udział w tym spotkaniu „Portugalczyka” Romana Kasprzyka. Młody, silny jak tur, umie się zastawić, twardziel z dobrym strzałem z dystansu. Przyda się w takim meczu i z takim przeciwnikiem. Kierownikiem ekipy był skarbnik PZPN, Henryk Kalski, a trenerem Tadeusz Foryś. Pod Rozprzą magister poprosił Kalskiego, by rozdał chłopcom paszporty.

– Paszporty? – zdziwił się skarbnik – Nie mam, sądziłem, że wręczono je chłopcom w PZPN.

Podjechaliśmy na pocztę. Foryś dzwoni do Warszawy, opieprza rozmówcę. Ten akurat Bogu ducha winien, mówi przerażony, że urzędnik odpowiedzialny za ten wyjazd już wyszedł ze związku.

– Może paszporty są w jego biurku? Szukajcie! – zżyma się trener.

– Zrobi się... Czekać w Katowicach, w „Monopolu”. Przed szesnastą tam będziemy...

Czekaliśmy do siedemnastej, przesyłka nie nadeszła. Magister wściekły, przezornie się jednak przeżegnał i kazał ruszać w drogę. Już zmierzchało, gdy dotarliśmy do Cieszyna. W autokarze na grypę rozchorował się bramkarz Marian Wilczyński. Idzie, jak po grudzie... Co to będzie na granicy?... Znowu wszystko na swoją głowę wziął Foryś. Palił, mruzczał coś pod nosem i tak, jak jego ulubiony bohater Szwejk pocieszał: – *Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było...*” Jakimś cudem przepchnął ekipę na stronę czechosłowacką, kłopot sprawił mu tylko tamtejszy celnik. Bez pardonu wlaź do autokaru i zapytał:

– Spirytus macie?

– Ano – odpowiedział Foryś – leczniczy. Do smarowania mięśni zawodników...

– Ile butelek?

– Dwie...

– No to jedną zostawcie!

Pojechaliśmy. Robi się ciemno, noc... Kierowca gubi się w górach. Przed godziną duchów dotarliśmy do Bańskiej Bystrzycy. Piłkarze na prędcie coś przegryźli i... do łóżek. Rano okazało się, że zdolnych do gry jest tylko dwunastu zawodników. Nie ma nawet rezerwowego bramkarza. Foryś zarządził przedmeczową odprawę. Znam magistra, wiem, że umie mobilizować piłkarzy i konkretne stawia im zadania. Wie, jak do nich dotrzeć. Technikom każe szanować piłkę, mądrze rozgrywać, walczakom walczyć, bo najczęściej nic więcej nie potrafią, a chłopcom z kopytem w nodze – strzelać z każdej pozycji. Kończy apelem do Kasprzyka: – Roman, liczę na ciebie!...

Jednak wciąż głowi się, kogo tu zrobić rezerwowym bramkarzem. Dresy z napisem „POLSKA” włożyli nawet kuśtykający skrzydłowy Kazimierz Polok i pulchny kierowca autokaru. To nie to! Żaden nie przypominał bramkarza. Foryś nadal „główkował”. Spojrzał w lewo, spojrział w prawo, znowu zapalił „Mentolowego”, podreptał, wreszcie lekko się pochylił i chytrze uśmiechnął w moim kierunku.

– To chyba... redaktor – powiedział. – Nie ma innego wyjścia. Polok za mały, kierowca Maciej za grupy... Tylko pan ma odpowiednią figurę!...

Doktor Stanisław Mielech, reprezentacyjny piłkarz, prawnik i dziennikarz często powtarzał, że *„dobrze i fachowo o futbolu może pisać tylko ten, kto był reprezentantem Polski”*. – Mam szansę – pomyślałem. – Henryk Kalski wpisał moje nazwisko do protokołu i oto tak stałem się reprezentantem Polski. Na szczęście tylko „grzałem ławę”. Stasio Fołtyn, choć często faulowany, do końca wytrzymał na posterunku. Udawałem przed Czechami, że jestem gotów go zastąpić, ale w duchu modliłem się, by go nie zniesiono z boiska. Było 2:2, obie bramki zdobył junior Kasprzyk. Opowiedziałem to wszystkim kolegom z redakcji.

– Eee, tylko zremisowaliście!!! – tak to podsumował Leszek Cergowski.

Srebrny medal zdobyty przez juniorów w Portugalii skruszył sumienia decydentów z koncernu RSW „Prasa”. Do Lizbony wydelegowali tylko jednego

dziennikarza, natomiast rok później do Bukaresztu aż szczęściu. Jechaliśmy tam pociągiem. Podróż długa, nudna, ale w zaprzyjaźnionym gronie, więc skracałiśmy czas winem i... śpiewem. Kobiet nie było. Rozanielony Miecio Szymkowiak udawał więc kurtyzanę: – Ja się boję sama spać. Kto zaśnie ze mną?... Liczyliśmy na powtórzenie sukcesu z Półwyspu Pirenejskiego. Personalnie drużyna była jeszcze silniejsza, niż przed rokiem i – zdawało się – mentalnie dobrze przygotowana do walki o najwyższe cele. W kraju zadziwiała. Miała na rozkładzie, między innymi nasz zespół młodzieżowy z Kostką, Suskim, Grzegorzkiem, Syktą, Mygą, Musiałkiem i Faberem. Atak strzelał dużo bramek. Ale miał też nazwiska: Hausner, Banaś, Maszczyk, Marx, Jarosik, Kowalik. Potencjalni reprezentanci Polski.

Z nadziei wyszły jednak nici! Juniorzy pogrzebali szanse już w pierwszym meczu z Włochami. W końcu opadli z sił i przegrali aż 0:3. Rumuni zorganizowali turniej nadspodziewanie dobrze. Nie było bałaganu i fałszowania daty urodzeń piłkarzy, jak przed trzema laty w Bułgarii. Zadbano też o informację i frekwencję. Foldery, sprawne biuro prasowe, duże zainteresowanie kibiców. Finałowy mecz Rumunia – Jugosławia na stadionie „23 sierpnia” w Bukareszcie oglądało 80 tysięcy widzów. Trudno było tam dojechać, co ulica – to kontrola. Przepustek nie mieliśmy, ale tupet – owszem. Pokrzykiwaliśmy na milicjantów po rosyjsku. Na to oni:

– Aaa... Union Sovietic!

I jechaliśmy dalej. Taki był tam wtedy klimat polityczny. „Ruski” język – najlepszą przepustką. Pogoda też łaskawa. Podczas gdy Janusz Lichocki z „Expressu Wieczornego” spacerował po plaży w Mamai, Stefan Grzegorzki ze „Sportowca” i ja z „PS” lepiliśmy śnieżne kule w Poianie. W tym czasie Tadeusz Dobosz z „Tempa” Kraków siedział przy barze na wysokich stołkach. W górach zima, wyciągi i narty, a w Bukareszcie już wiosna, kwiaty, panienki w letnich okry-

ciach. Nasze hotele w Braszowie „Carpati”, a w Bukareszcie „Lido” były dobrej marki. Popijaliśmy tam rum „Jamajka” i młode rumuńskie wino. Trafiliśmy akurat na pięćsetną rocznicę założenia Bukaresztu. Co krok, to jakaś feta, degustacja, przyjęcie. Byliśmy mile widziani. Zwiedziliśmy miasto stare i... nowe. Dużo zabytków i trzy nowoczesne stadiony sportowe. Takich obiektów w Warszawie nie ma. Tu wszystko tonie w kwiatach. Stefan Grzegorzczak ułożył na tę okoliczność wierszyk i śpiewał: „*Zupełnie, jak w Porto-fino*”, a romantyczny Tomasz Sobanski umiał swój pokój bzem białym i różowym.

– Wyobraźcie sobie – opowiada rozgorączkowany – wychodzę z hotelu, a tu wyrasta przede mną cudowna dziewczyna... Elegancko ubrana, barwny kostium, buciki na wysokich obcasach, włosy falujące, jak u nimfy... Wrzasnąłem z wrażenia – Ale dupa!!! Pomyślałem: Taką dopaść!... Nagle babka zgrabnie się odwraca, robi głęboki ukłon i z wdziękiem oznajmia:

– I to w dodatku polska...

Na moment zaniemówiłem. Czy wiecie, kto to był? Stefania Wojtowicz! Nasza słynna wokalistka... Wieczorem idę na jej koncert...

W Rumunii świętowaliśmy Wielkanoc, a zaraz potem moje imieniny. Podtrzymałem „przeładową” tradycję. Tam solenizanci Zmarzlik, Mrzygłód, Wiechowski i Lechowski rok rocznie urządzali huczne przyjęcia. Był potem pokerek i... dla przegranych w moim wykonaniu na akordeonie tango „Siedem czerwonych róż...”. W roku 1962 w Rumunii balangę urządziliśmy na dachu hotelu „Lido”. Pogoda wymarzona, ciepło, dużo słońca. Było bogato i wesoło, kawalerska szarża ot co! Nie wszyscy to wytrzymali. Dwóch „uczulonych” na trunki szybko zeszywniało, więc znieśliśmy ich do pokoju doktora Makowskiego: – Januszku ratuj te dwa nieszczęścia!...

– To nic groźnego – powiedział – tylko lekki szok. Pod kran ich, to rychło otrzeźwieją...

DYSKWALIFIKACJA ZA... KUFEL PIWA

Pierwsza reprezentacja grała w „kratkę”. Obok liczących się zwycięstw nad Francją w Paryżu (3:1) i Belgią w Warszawie (2:0), zanotowała kolejną przegraną z Węgrami oraz dwie wpadki z Irlandią Północną w eliminacjach mistrzostw Europy i... 1:2 w towarzyskim spotkaniu z Czechosłowacją. Ten ostatni mecz, także towarzyszące mu okoliczności, szczególnie mocno utkwily w mojej pamięci. Nasi grali z niesamowitym zębem i w niczym nie ustępowali wicemistrzowi świata z Chile. Menadżer Juliusz Ukraińczyk chwalił naszych piłkarzy: – „Na najwyższe noty zasłużyli: Szymkowiak, Oślizło, Szczepański i bardzo pracowity Brychczy”.

Z Czechosłowacją walczyliśmy wtedy na trzech frontach. Najpierw oglądałem zwycięstwo juniorów 2:0 w Nowych Zamkach, a potem tę nieznaczną przegraną seniorów w Bratysławie. Ucieszyła wygrana juniorów. Zaniepokoił tylko słabszy występ Lubańskiego. Na początku września w meczu z Węgrami w Zielonej Górze grał, jak młody Bóg. Wystawiłem mu celującą ocenę: – „**Uwaga, pojawił się talent!**”. Tymczasem w Nowych Zamkach Włodek był wyraźnie w cieniu strzelców bramek – Maszczyka i Szulca. Naczelny redaktor „Sportu” Tadeusz Bagier, z którym oglądałem to spotkanie, po pierwszej połowie wykpił mnie kompletnie:

I to ma być ten wychwalany przez ciebie talent?! Mówiłeś, że Węgrzy chcieli go z Zielonej Góry zanieść na rękach do Budapesztu. Tak im się podobał?... A on tu szwenda się po boisku, jak bohaterowie „Szwejka”... na dużym kacu. Poznałeś się na tym Lubańskim, jak kura na pierzu...

Podrażniło to moją ambicję. W czasie przerwy zbiegłem do szatni. Pytam: – „Włodziu, co się z tobą dzieje? Jesteś chory... niewyspany?”.

– Głupi!... Przede wszystkim – głupi!... Najadłem się przed meczem winogron i... teraz mam za swoje. Boli brzuch... pędzi mnie... Dziś już chyba dobrze nie zagram...

W hotelu „Divin” w Bratysławie kolejna niespodzianka. Początkowo nastrój był dobry. Piłkarze zabawiali się w hotelowej restauracji. Jak normalni, młodzi ludzie... Ja też tam byłem i to dość długo. Pohl i Brychczy, zaraz po północy, przemieśli się do swoich pokoi. Tam pili? Tego nie wie nikt! Natomiast rano, przed śniadaniem, podeszli do bufetu i zamówili dwa piwa. Przyłączyłem się do nich, wszak piwo z rana, jak śmietana... Nie spodobało się to ówczesnemu wiceprezesowi PZPN, generałowi Marianowi Rybie i trenerowi Ryszardowi Koncewiczowi. Potraktowali seniorów reprezentacji, jak smarkaczy. Zbesztali obu. W kraju, na zebraniu zarządu PZPN, głównie Pohla pomówili o pijaństwo:

... „Po meczu w Bratysławie rozsmakował się w wysokoprocentowym piwie czeskim do tego stopnia, że zatracił całkowicie miarę w jego konsumpcji. Inni zawodnicy mogli w pewnym momencie wstać od stołu i pójść do łóżek, on zaś i Brychczy po kryjomu przed kolegami i kierownictwem ekipy nadal oblewali nieznaczną przegraną z wicemistrzem świata... Następnego dnia Pohl odczuwał duże pragnienie i poprosił kelnera o dwie butelki piwa...”

Mętny komunikat, istne pomieszaniem z poplątaniem... Ja to widziałem inaczej. Właśnie Pohl i Brychczy jedni z pierwszych wstali od biesiadnego stołu. Owszem, rano piwo pili, ale zamawiali nie u kelnera, lecz u barmana i nie „dwie butelki”, tylko dwa kufle. Trzeci był mój... Nikt z orzekających kary tam nie był, dano jednak wiarę generałowi i trenerowi. To mnie zabolalo. Pohla przykładowie ukarano, Brychczego z lekkim przymrużeniem oka:

... „Ernest Pohl zawieszony do 2.05.1963 roku za **„wysoce niesportowe zachowanie się po meczu w Bratysławie i niesubordynację wobec kierownictwa ekipy”**. Lucjan Brychczy tylko **„jeden miesiąc dyskwalifikacji, z zawieszeniem na 6 miesięcy, ponieważ było to wykroczenie pierwsze od wielu lat”**.